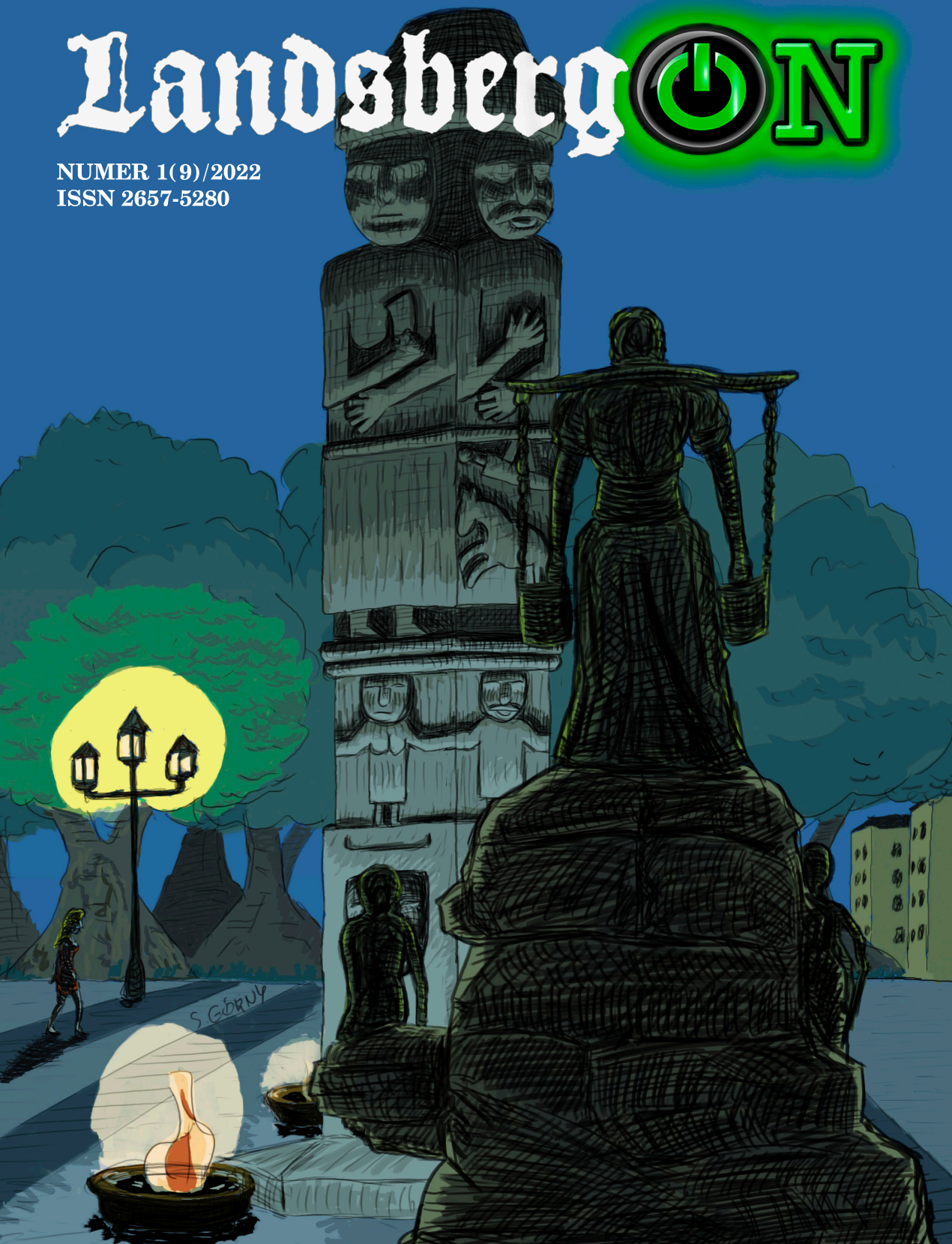


GORZOWSKI MAGAZYN FANTASTYCZNY

Landsberg ON

NUMER 1(9)/2022
ISSN 2657-5280



Wstępniak naczelnego

Dwa miesiące temu zmarł mój tata. Im więcej czasu mija od Jego odejścia, tym bardziej zdaję sobie sprawę ze straty. Z każdym dniem mocniej uświadamiam sobie fakt, że już nigdy nie naprawię tego, co zepsuło się między nami i nigdy nie będę miał okazji odbyć tej ostatniej, szczerzej i pożegnalnej rozmowy.

Gdy wspólnie w redakcji ustaliliśmy tematykę tego numeru „LandsbergONu” (mitologia słowiańska), usiadłem do pisania, gdyż od razu przyszła mi do głowy historia o starożytnym rytuale naszych przodków, o którym nie zachowały się żadne wzmianki, prócz enigmatycznych legend i ludowych zabaw. Prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się, czy taki obyczaj miał w ogóle miejsce. Dopiero gdy skończyłem pisać „Poślańców”, dotarło do mnie, że zupełnie nieświadomie stworzyłem tekst o pożegnaniu z ojcem. Nie było to moim celem i zdumiała mnie oczywistość tego odkrycia. Literatura ujawniła swoją moc, podświadomie pozwalając mi przepracować ból i stratę. Dobra literatura pełni rolę *katharsis*, pozwalając nam na uwolnienie skrępowanych myśli i wyobrażeń, a fantastyka bardzo często jest dobrą literaturą, wbrew temu co mogliby twierdzić zatwardziali wyznawcy tzw. sztuki wysokiej.

To opowiadanie pokazuje nam jeszcze jedną rzecz charakterystyczną dla niniejszego numeru. Mitologia słowiańska jest nam znana dużo gorzej niż mity Greków i Rzymian, którym poświęca się wiele czasu na etapie edukacji szkolnej, więc zainteresowani zmuszeni są sięgnąć po naukowe opracowania, jak „Mitologia Słowian” A. Gieysztor czy fabularyzowane próby rekonstrukcji mitów na podstawie niepełnych, szczątkowych źródeł jak w „Mitologii Słowiańskiej”

J. Bobrowskiego i M. Wrony. Dlatego o rytuale, o którym wspominałem, wiemy niemalże nic. O tym zapomnieniu o naszej własnej historii wspominają współcześni Słowianie z Valknut Hird, z którymi wywiad przeprowadził dla nas Kamil Kwiatkowski. A kto z Was, drodzy czytelnicy, słyszał o Mokosz albo o nawiach, które spotykamy pod Kosmicznym Drzewem w opowiadaniu Katarzyny Wieczorek? Kim są nocnice, wampirze i jak wygląda mlekowy żmij? Ten skromny zbiór, który trzymacie w rękach, ma choć częściowo przywrócić pamięć o tym, co zapomniane. O naszej przeszłości.

Ze swojej zaś strony chciałbym ten numer zadedykować pamięci mojego ojca. Gdziekolwiek jest.

Mariusz Sobkowiak

Redaktor Naczelny



Autor okładki: Sebastian Górny

Gorzowianin, z wykształcenia socjolog, z zawodu dziennikarz. Wychował się na komiksach i filmach ery VHS. Czytał i dalej zdarza mu się czytać książki bez obrazków, takich autorów jak: Philip K. Dick, Stanisław Lem, Andrzej Sapkowski czy Janusz Zajdel. Miłośnik historii lokalnej i średniowiecza.

U podnóża katedry

*Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy
[tu] wchodzić.*

Dante Alighieri, *Boska komedia*

Zachodzące za różnobarwnymi fasadami domów słońce malowało na ceglanych murach katedry abstrakcyjne wzory. Świetlne ornamenty przyozdobiły dumne, gotyckie ściany i oświetliły wnętrze świątyni, przebijając się przez witraże podłużnych okien. Bruk wyłożony u jej podnóża iskrzył się lekko, jakby żegnał się z ostatnim tchnieniem dnia, który już ustępował na niebie nieprzeniknionym ciemnościom.

Zapewne jeszcze jakiś czas temu rynek pośrodku miasta zapełniałby się o zmierzchu grupami złaknionych letnich wrażeń mieszkańców. Okoliczne bary i kawiarnie otwierałyby na oścież drzwi, pachniałyby podawaną kawą czy pieczoną w pośpiechu pizzą. Gdzieś lokalni grajkowie umilaliby przypadkowym przechodniom wieczór swoją grą na akordeonie. A może nawet znad rzeki czy amfiteatru rozbrzmiewałyby odgłosy koncertu. Wielogłos rozmów długo by nie milkł, a na ustach roześmianej młodzieży wciąż obecny byłby posmak ich rodzinnego miasta, do którego mimo planów na przyszłość wciąż prowadziłyby wszystkie drogi.

Jednak tej nocy miasto było ciche już o zmierzchu, i tak samo puste – opuszczone jak wnętrze górującej nad innymi budynkami katedry. Od pewnego czasu nie zaglądał tam już nikt. Uciekli wierni, księża, a może i samo bóstwo, którego imię odmieniano tam przez wszystkie przypadki. Zostały tylko ptaki, które uwiły gniazda w ceglanych wnękach. Ganiają się do dzisiaj między opuszczonymi przez ludzi ławkami, chowają się za klęcznikami i wlatują aż po sam dach wieży zegarowej, jakby kościół był dla nich placem

zabaw. Nic jednak dziwnego w tych figlach, bo mieszkańcy już więcej nie wrócą do murów katedry – życie utwierdziło ich w innej wierze; tej w stworzenia demoniczne, lecz dalekie od istot piekieł, raczej bliższe prymitywnej dziś zabobonności. Bo właśnie nadchodziła pora powrotu do życia wszystkich lęków, o których już dawno zapomnieli mieszkańcy tych terenów pochłonięci rozwojem. Zaczynała się bowiem godzina zmór i czarta – poprzedników chrześcijańskiego diabła.

Przybycie dziwadła obwieszcało nocne pianie koguta, czyli przerażające wycie dochodzące gdzieś z parków i zielonych skwerów. Ta pieska kakofonia jakby wzywała księżyc, by wzniósł się nad miasto i obudził wszystkie mary poukrywane w mroku. A ludzie ukryci w ciemnicy domostw, schowani za grubymi firanami i zamkniętymi drzwiami, nadaremnie odmawiali modlitwy do boga, który okazał się iluzją. Nasłuchiwali w ciszy nocnych odgłosów koszmaru – pojękiwania w ciasnym uliczkach, sapania pod oknami i krzyków w oddali przedmieść. Zastaniali uszy na dźwięk stłumionych, gardłowych głosów, a dzieci pod kołdrami opowiadały sobie historie o upiorach, które mogły dobijać się do drzwi. Nadaremnie prześcigały się przy tym w wymyślaniu jak najbardziej przerażających opowieści, bo te w obliczu bezlitosnej prawdy okazywały się przesycone dziecięcym optymizmem. Ponieważ dla tych, którzy postanowili wyjść choć o krok poza zamkniętą przestrzeń, świat kończył się obrazem stworzeń o wiele szkaradniejszych niż fantazje samego Dantego, przewodnika po dziewiciu kręgach piekła.

A monstra te były zgnite od przeszłości, co czuć było w całym mieście – na wzgórzach i w dolinach, w centrum i na

obrzeżach, w domach i na podwórkach. Wszędzie tam unosił się fetor przestarzałych legend. To właśnie w tej woni czuć było odór wodnych potworów, przed którymi ostrzegano niegdyś niefrasobliwą młodzież szukającą rozrywek w okolicach rzeki – dziewczynki, wciągane przez wodne wiry topielców, a także chłopców skłanianych pięknym śpiewem słowiańskich syren. Stamtąd te pieśni niosły do katedry latawice prowadzone przez kruki i wrony ponad dachami, w kościele zaś zapachy starej wiary paliły się w resztkach wody święconej o aromacie siarki.

Tej nierównej rywalizacji religii przyglądał się z kolei czart, który w zamyśleniu krążył wokół pobliskiej fontanny i stukał swoim koźlim kopytem o nierówny bruk. Gdzieś ze szczytu tej dziwnej konstrukcji zerkąta na niego swoimi przekrwionymi oczami strzyga, przejmująco drapiąc długimi pazurami o skalną powierzchnię zatopioną częściowo w wodzie rzeźby. Wyglądała przy tym dumnie, nawet w obliczu wypiętej piersi budowli naprzeciwko niej. Przed tą zgorą uciekały wszystkie inne, nawet te najstarsze ze wszystkich słowiańskich koszmarów – przed jej drapieżnym, wygłodniałym wzrokiem chowały się nawet nocnice, które napotykając zamknięte domostwa, włóczyły się po mieście, niknąc raz po raz w świetle księżycy. Jednocześnie kikimory zaglądały do wnętrz budynków z utęsknieniem, patrząc na dzieci śpiące w łózkach jak nieruchome lalki z porcelany. Te same dzieciątka powoli ulegały snom o piękniejszej magii, bez kłów i podłużnych pysków drapieżników.

Jednak nieprzebłagany był bóg, który co noc na ulice miasta wypuszczał swoje makabryczne pociechy głodne krwi niewiernych. Jego wilczy łeb widoczny jest nieraz na tarczy księżycy, tak jakby z zafascynowaniem obserwował tę demoniczną zagładę ludzkiego świata. Bo ci właśnie ludzie zdradzili swoje rodzime bóstwa, by wznieść modlitwy do tych

falszywych, ukrytych w święconej wodzie o fetorze siarki. A kara ta trwać ma przez lata w każdą z takich księżycowych nocy, w myśl kary za wieki odrzucania tradycji.

Joanna Łebkowska

Uczennica trzeciej klasy II Liceum Ogólnokształcącego w Gorzowie Wielkopolskim. Miłośniczka fantastyki od początku swojej przygody z czytelnictwem, a także pisarka-amatorka publikująca w Internecie od blisko sześciu lat. Autorka tekstów prozatorskich inspirowanych powieściami z gatunku fantasy, antyutopii, postapokalipsy i horroru, której nie są obce dawne wierzenia słowiańskie i greckie oraz historia.



Autor grafiki: Anna Kowala-Nadolna

Urodzona w 1954 r. w Gorzowie. Nauczycielka plastyki, który to zawód uprawiała do czasu odejścia na emeryturę. Dwadzieścia jeden lat pracowała w Szkole Podstawowej nr 2, przemianowanej później na gimnazjum nr 9, oraz siedem lat w Młodzieżowym Domu Kultury. Od 1996 roku związana z grupą malujących nauczycieli „Wena”. Obecnie uczęszcza na zajęcia sekcji plastycznej i fotograficznej na Uniwersytecie Trzeciego Wieku. Rysunki zawarte w numerze pochodzą z bestiariuszy portalu kościoła parafialnego w Drezdenku, które zostały wykonane z okazji obchodów jubileuszu 900-lecia ustanowienia biskupstwa lubuskiego.

Wąpierz z Gorzowa

Historia ta wydarzyła się przed wiekami, gdy tereny dzisiejszego miasta Gorzów porastały gęste, dziewicze lasy. Kilka okolicznych, odizolowanych od reszty kraju wsi zamieszkiwała zaledwie garstka wytrwałych i pracowitych osadników. Nie byli to ludzie strachliwi ani nieporadni, z większością problemów byli w stanie uporać się samodzielnie. Gorzej, jeśli tereny przez nie zamieszkane postanowił odwiedzić wąpierz...

Upiór zadomowił się w lasach wokół jednej z osad i każdej nocy nękał biedne ofiary, które spały snem sprawiedliwych po całym dniu ciężkiej pracy. Poszkodowany zwykle budził się następnego ranka blady jak trup – osłabiony i obolały – a jedyną pamiątką po nocnej przygodzie były ślady ostrych zębów na szyi. Wąpierz szybko zorientował się, że równie smaczne kolacje może sobie urządzać w pozostałych wsiach i wkrótce nie było już w okolicy miejscowości, w której choć jedna osoba nie byłaby przez niego skrzywdzona.

W końcu ludzie postanowili przerwać koszmar i zmówili się, by urządzać zasadzkę na potwora. Czekali na niego w jednej z chałup z widłami i siekierami, zebrani wokół śpiącej spokojnie, młodej dziewczyny. Wąpierz połasił się oczywiście na łatwy łup i wleciał do izby przez otwarte na oścież okno. Teraz dopiero miejscowi mogli przekonać się, jak paskudną był istotą. Skórę miał bladą jak śnieg i pomarszczoną niczym starzec, ciemne oczy – ogromne i wyłupiaste – a paszczę szeroką od ucha do ucha i pełną ostrych kłów. Ubrany był w jakieś podarte łachmany, które zwisały na nim smętnie.

Widząc zasadzkę, wąpierz uśmiechnął się szeroko, a uśmiech ten prezentował się bardzo nieprzyjemnie i stanowił dla

wszystkich zebranych obietnicę cierpienia. Krwiopijca stał spokojnie przy łożu dziewczyny i czekał na pierwszego odważnego. Sprawiał wrażenie istoty wątpliwej i słabowitej, toteż jeden z chłopów ośmielił się i ruszył na niego z widłami. Wąpierz syknął groźnie, uchylił się błyskawicznie przed ciosem i chlasnął na odlew ręką uzbrojoną w długie, ostre szpony. Całkowicie rozorał gardło nieszczęśnika, a krew trysnęła na wszystkich pozostałych, przez co pełni trwogi cofnęli się o krok. Potwór dobiegł do rannego i przywarł ustami do jego szyi, po czym porwał go w ramiona i odskoczył w stronę okna. Chłopi zobaczyli jeszcze tylko, jak odlatuje gdzieś w ciemną noc ze swoją ofiarą, wykorzystując podarte łachmany jako skrzydła. Porwanego mężczyzny już nigdy nie odnaleziono. Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy mieszkańcy próbowali poradzić sobie z tym problemem na własną rękę.

Sytuacja wydawała się opanowana i przez kilka kolejnych tygodni ludzie zamykali szczelnie chaty na noc, za każdym razem modląc się o to, żeby wąpierz zapolował akurat w innym miejscu. Strach panował nad całą okolicą, aż do dnia, kiedy w te strony zawitał Wojuta – legendarny bohater, który niejednego potwora zdążył już pokonać. Ludzie wyślali go u herosa interwencję, a ten zgodził się zabić wąpierz w zamian za solidną kolację i sporą beczkę piwa.

Bohater jak obiecał, tak zrobił, i wytropił upiora w gęstym lesie. Mądry Wojuta dokonał tego za dnia, kiedy wąpierz był o wiele słabszy i dysponował zaledwie ułamkiem swojej nadludzkiej siły. Mimo to walka była zażarta i Wojuta wyszedł ze starcia mocno podrapany i poobijany. Na szczęście, ku uciesze zdesperowanych

ludzi, o zmroku wrócił do wsi, niosąc ze sobą głowę wapiersza odciętą od reszty ciała. Był to kres długiego koszmaru...

- Zaraz, zaraz! - odezwał się jeden ze słuchaczy, którzy zebrali się w małej gospodzie na obrzeżach Gorzowa. - Piękna bajeczka, ale na jakiej podstawie mamy w to uwierzyć?

- Wszystko to, co wam tu opowiedziałem, to szczerą prawdą! Przed wiekami, nim jeszcze powstało to piękne miasto, tereny te terroryzował prawdziwy wapiersz! - burknął starszy mężczyzna, który zabawiał wszystkich zebranych w gospodzie niesamowitymi historyjkami.

Staruszek siedział na honorowym miejscu przy jednej z ław, szczelnie otulony ciepłym płaszczem, z kapturem zsuniętym nisko na oczy. Wokół niego zebrał się liczny tłum okolicznych pijaków i obiboków, którzy zaczęli teraz wyśmiewać go bez litości.

- Tą historią, to straszyla mnie niańka, kiedy byłem małym chłopcem! - zawołał z pogardą jakiś mężczyzna z kuflem piwa w ręku.

- Chyba masz majaki, dziadku, albo coś ci się przysniło! - dodał ktoś inny.

- Takie z was niedowiarki? - zapytał słabym głosem staruszek i powiódł po wszystkich wzrokiem. - A co powiecie na to, że ja wiem, gdzie Wojuta stoczył swoją walkę z wapierszem? Wiem, gdzie krwiopijca miał swoje leże! Po dziś dzień widać tam ślady starcia oraz kości nieszczęśliwych ofiar upiora! To w sumie całkiem niedaleko stąd. I co? Znajdzie się jakiś śmiałek, żeby iść tam ze mną teraz i przekonać się, czy mówię prawdę?

Wszyscy odważni narzekacze nagle umilkli. Niektórzy niepewnie spojrzeli w stronę okna, za którym widać było jedynie niepokojącą ciemność. Było już bardzo późno w nocy i w obliczu nieoczekiwanego wyzwania opuściła ich śmiałość.

- A ja pójdę! - oznajmił nagle barczysty, wąsaty mężczyzna, który dopił swoje piwo i odstawił kufel na stół z głośnym

łoskotem. - I biada ci, dziadku, jeśli tżesz!

- Ja też chętnie się przekonam, czy to prawda - powiedział wysoki, brodaty człowiek, który do tej pory trzymał się na uboczu, w cieniu belki podtrzymującej krokwie gospody. Był to jakiś przybysz z dalekich stron, którego nie znał nikt ze stałych bywalców lokalu.

- Dwóch chętnych? - zdziwił się dziadek i wstał od stołu - Dobrze! Dobrze! To nawet lepiej. Zapraszam za mną, panowie, przekonacie się, że nic nie zmyśliłem.

Staruszek ruszył chwiejnym krokiem w stronę wyjścia, a wąsacz i brodacz poszli jego śladem. Cała trójka zaczęła przemierzać kręte uliczki miasta, kierując się w stronę pobliskiego parku. Starzec poprowadził ich w jakieś chaszczce i w końcu znaleźli się na niewielkiej polanie, oświetlonej jedynie przez delikatny blask księżycy, który raz na jakiś czas wyglądał zza chmur. Wszędzie wokół walały się puste butelki i inne śmieci.

- I gdzie te kości, ty kłamliwy dziadygo?! - oburzył się pijany wąsacz. Wykrzywił twarz w przesadnym grymasie i podwinął rękawy, szykując się do wymierzenia brutalnej kary. - Tu nic nie ma! Mogłem dalej pić w spokoju!

- Bez obaw, pokażę wam inny dowód - stwierdził staruszek i odrzucił kaptur z głowy. Spojrzał na obu mężczyzn wielkimi, nieludzkimi, ciemnymi oczyma i zasyczał groźnie, prezentując przerażające kły. - Wapiersz z Gorzowa to ja!

Potwór rzucił się na swoje ofiary, pewny łatwego łupu i smakowitej kolacji, która tej nocy wyjątkowo miała składać się aż z dwóch dań. Wąsaty mężczyzna jęknął cichutko niczym przestraszone dziecko i skulił się bezradnie na ziemi. Drugi natomiast, ten wysoki i brodaty, wyciągnął spod płaszcza miecz i stanął przed przestraszonym towarzyszem.

- Co jest, do jasnej cholery?! - zdziwił się wapiersz i zatrzymał się wpół kroku. Mieszkańcy Gorzowa zwykle nie paradowali po mieście z taką bronią.

- Dawnośmy się nie widzieli. Na bogów, jesteś jeszcze brzydszy niż przed

laty! – powiedział brodac i splunął z pogardą. Dopiero teraz jego twarz wydała się potworowi dziwnie znajoma. – Kiedy usłyszałem, że w tej okolicy giną pijani ludzie, to pomyślałem sobie, że tylko taka gnida jak ty mogłaby polować w tak tchórzliwy sposób.

– Wojuta?! – Wąpierz wyciągnął przed siebie ostre szpony i ryknął niczym dzikie zwierzę, ale nie zaatakował. Poprzednim razem ten człowiek nieźle go urządził i upiór musiał przez dziesiątki lat dochodzić do siebie. – Jakim cudem się tu znalazłeś? Od wieków powinienes gnić już w grobie!

– Dawni bogowie obdarzyli mnie swoją taską – wyjaśnił Wojuta i uniósł miecz wysoko w górę. Nagle ze spokojnego do tej pory nieba uderzył piorun, trafiając w ostrze z głośnym hukiem. O dziwo nie wyrządził wojownikowi żadnej krzywdy, tylko rozświetlił jego broń niezwykłym blaskiem. – A to jest specjalne błogosławieństwo od Peruna. Pożegnaj się z życiem, nędzna kreaturo! Dopilnuję, żebyśmy nie spotkali się po raz trzeci!

Wojuta rzucił się na wąpierz, wymachując swoim szerokim mieczem, po którego ostrzu błądziły jasne błyskawice. Upiór wpadł w szal i zaczął chlastać groźnymi szponami na lewo i prawo. Dzięki nadzwyczajnej szybkości unikał cięć miecza, ale był wygodniały i osłabiony, a z każdym wyprowadzonym ciosem jego głód rósł. Kierowały nim teraz tylko dzika furia i chęć pożarcia znieawidzonego wroga.

Wąsaty, skomlący bezradnie mężczyzna podniósł głowę z ziemi i ze łzami w oczach zaczął obserwować niesamowite starcie. Widział miecz roziskrzony błyskawicami, który krzyżował się wielokrotnie z ostrymi szponami. Obaj walczący byli szybcy i tańczyli wokół siebie w morderczym rytmie, wyczekując pierwszego błędu przeciwnika. Wąsacz czuł, jak przerażenie go paraliżuje i uniemożliwia ucieczkę, ale poza tym był też oczarowany widokiem świetlistej broni w rękach wysokiego wojownika.

– Jeść! Jeść! – krzyknął wąpierz i w akcie desperacji odskoczył od Wojuty, żeby dopaść do drugiego, skulonego nieopodal człowieka. Od wielu dni nie pił krwi i ledwie trzymał się już na nogach. Potrzebował choćby jednego tyka, żeby zyskać siłę na dalsze starcie. To był ostatni błąd upiora. Wojuta pognał za nim i jednym, potężnym cięciem miecza rozplątał go od czubka pomarszczonej głowy aż po krzywe nogi. Wąpierz zasyczał groźnie po raz ostatni i padł bez życia na trawę, tuż obok swojej niedosłej ofiary. Coś huknęło głośno i roziskrzony błyskawicami miecz Wojuty zgąst, pograżając polanę ponownie w ciemnościach.

– Boże, przepraszam... – skomlął wąsacz, podnosząc się na kolana i patrząc na zwłoki wąpierza, które zaczęły ciemnieć i powolutku zamieniać się w popiół. – Już nigdy nic nie wypiję, przysięgam! Kończę z alkoholem!

– Dobrze! – odpowiedział z uśmiechem Wojuta i schował swój miecz. Spojrzał z politowaniem na przerażonego mężczyznę i roześmiał się pod nosem wesoło. – Będzie więcej dla mnie.

Wojownik odwrócił się na pięcie i rażącym krokiem ruszył w stronę zabudowań Gorzowa. Od wielu dni sączył tylko wodę w różnych knajpach, cierpliwie czekając, aż przytapie krwiopijcę na gorącym uczynku. Teraz miał zamiar porządnie uczcić swoje zwycięstwo w pierwszej napotkanej gospodzie.

Wąsacz jeszcze przez chwilę klęczał na polanie, patrząc jak resztki upiora obracały się w pył. W końcu przeżegnał się, wstał i ile sił w nogach pobiegł do domu. I tak właśnie zakończyła się historia wąpierza z Gorzowa.

Emil Zawadzki

Mieszka w Warszawie. Pracuje jako programista aplikacji mobilnych. Każdą wolną chwilę poświęca na pisanie. Tworzy głównie opowiadania fantastyczne, w tym science-fiction. Zdobył wyróżnienia w kilku konkursach literackich. W najbliższej przyszłości planuje napisanie pierwszej książki. Prywatnie fan wszelkiej maści mitologii i komiksów.



Autor grafik: Emi Nowak

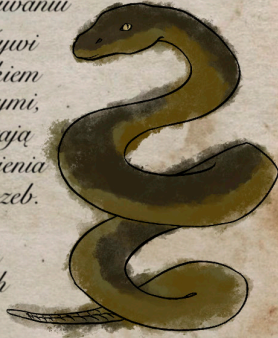
Uczennica II LO w Gorzowie Wlkp. Rysuje od dziecka, a w ukochany świat grafiki komputerowej wprowadziła ją Anna Kowalczevska. Dzięki nauce u tej mistrzowskiej artystki wolne chwile może poświęcać na tworzenie ilustracji, animacji, a od niedawna – również murali.

Mlekowy żmij

To niegdyś ogromny wąż, obecnie nie osiąga więcej niż dwa metry. Żyje pod ziemią, wychodzi zazwyczaj tylko w nocy w poszukiwaniu

pożywienia. Żywi się jedynie mlekiem i jego pochodnymi, które wystarczają mu do zaspokojenia wszystkich potrzeb.

Nie stanowi zagrożenia dla ludzi ani innych zwierząt.



Jest nieagresywnym, strachliwym gatunkiem. Syczy w momentach zagrożenia.

Występuje w zielonych i brązowych umaszczeniach.

Żyje od 2 do 4 razy w roku.

podwójny rząd płytek podogonowych

Dawniej wierzono, że mlekowe żmije przynoszą szczęście.

okrągła głowa



Brak kłów!

Mlekowe żmije mają zdolność samowytwarzania składników odżywczych dlatego jego mięso, było wykorzystywane jako pełnowartościowe rącje żywnościowe.



Autor grafik: Anna Kowala-Nadolna



Postańcy

Śnieg skrzypi pod saniami. Wojciech czuje ich ciężar i odwraca się raz po raz, spoglądając na postać na wpół leżącą na saniach. Jest zaskoczony tym ciężarem, wszak to chuchro, które ciągnie, nie może wiele ważyć, tyle co nic, może jak dwa zające. Pomiędzy jednym a drugim krokiem, brnąc w białym puchu, przygląda się kłębowi pary wydobywającej się z jego ust przy każdym wydechu. Niektóre chmurki mają kształt niedźwiedzia, inne – nim się rozplyną – przypominają drzewo albo moździerz, w którym Wiesia rozciera ziarna przypraw na aromatyczny pył. Przyprawiła mu nim chleb i Wojciech wyobraża sobie teraz, jak zje go w drodze powrotnej.

Na razie ciągnie sanie, śnieg skrzy się jak niezliczone gwiazdy na niebie, a przed nim rozpościera się las. Słońce niedługo wzejdzie, a teraz mrok rozświetla im księżyc w pełni. Nie idzie wszak sam. Za nim i przed nim ciągną swoje sanie inni mieszkańcy osady. Z daleka widać zaś sylwetki tych postańców, którzy postanowili iść sami. Śnieg skrzypi, księżyc lśni łagodnie, cudownie rześkie powietrze ogrzane przez oddech Wojciecha osiada mu na brodzie, po czym zmienia się w delikatne kryształki. Idą przed siebie.

– Daleko? – ciszę przerwał głos męczyzny spoczywającego na saniach. Mówienie przychodziło mu z wyraźnym trudem.

– Jeszcze trochę. Niedaleko – odpowiedział Wojciech i odwrócił się, aby spojrzeć na światła osady, które zaczęły nikać za horyzontem, pośród licznych drzew.

– Dobrze – prawie niedostłyszalnie rzekł leżący na saniach i zapytał jeszcze o coś, czego Wojciech nie dosłyszał, bo

zagłuszyły to przekleństwa Kazika, jego sąsiada.

– Co się stało, kumie? – spytał Wojciech, widząc przyjaciela otrzępującego kożuch ze śniegu.

– Zaspa, psia mać! – odpowiedział krótko i chwycił na powrót sznury przytroczone do sań, na których siedział jego krewniak. Bogumił, bo tak było siedzącemu, śmiał się w niebogłosy, patrząc na Kazika.

– Trzeba było łoża nasmarować, to byś po górkach jeździł, a nie wjeżdżał w każdą – Wojciech usłyszał jeszcze, jak stary Boguś rzuca parę przekleństw do Kazika przez bezzębne usta i poszedł dalej, ciągnąc swoje sanie. Już niedaleko. Wciągając sanie na wzniesienie, Wojciech widział lśniąca poświatę na szczycie. Bogowie wskazują im drogę, jak co roku.

Gdy mijał zaśnieżony głąz, do uszu Wojciecha doszły krzyki, wiele różnych głosów mąciło ciszę, psując krystaliczny spokój panujący wokół tuż przed nastaniem poranka.

– Zostawię cię tu na chwilę – rzucił do spoczywającego na saniach, opierając je o głąz, i popędził przed siebie do źródła hałasów.

– Już dotarliśmy? – zapytał ten, który leżał na saniach półprzytomnie, ale jego pytanie trafiło w pustkę. Wojciech, biegnąc przed siebie, nie mógł już usłyszeć jego szeptu.

Wśród drzew, na śniegu przeoranym śladami sań, leżała staruszka, a wokół niej zgromadził się już mały tłum. Wszyscy krzyczeli na siebie, a z pojedynczych słów, które wytawiał Wojciech, nie dało się zrozumieć sensu tej sytuacji.

– Co się dzieje? – zagadnął do najbliższego stojącego z gapiów, Barnima pszczelarza.

- Lechu się zatrzymał i pomagał zsiąść starej. Ktoś z tłumu zatrzymał się za nim i zelżył go od psów. I tak od słowa do słowa...

- Czemu się zatrzymał? Za wcześniej przecie jeszcze.

- Ja tam nie wiem, może wracać chciał? Widać kogoś rozsierdziło, że się zatrzymał. Wiesz przecie, że nikt się nie wyłamuje, bo następnym razem pół osady dołączy i nie będzie już kogo posyłać.

Wojciech spojrzął jeszcze raz na staruszkę leżącą na śniegu tuż obok sań i począł przedzierać się do niej przez tłum. Gdy uklęknął obok staruszki, zobaczył w jej oczach strach i zupełne zagubienie. Nie zważając na przekleństwa i rękoczynny wokół, wziął jej wątłe ciało na swoje ręce i ułożył z powrotem na saniach, przykrywając skórami. Na śniegu, na którym leżała, widniała wielka żółta plama. Zrobiło mu się żal starej kobiety, która musiała być przerażona awanturą, jaka wybuchła.

- Ludzie! Słuchajcie, do kroćset! - Wojciech ryknął donośnie i wrzawa wokół ucichła. Spojrzął na tych, którzy przed chwilą wrywali sobie wzajemnie włosy z głowy w kottłowaninie i kontynuował, tym razem mówiąc cicho, niemalże szepcząc, po to, aby skupili się na tym, co ma do powiedzenia: - Od niepamiętnych czasów ślemy naszych starców, aby zabiegali o dobro całej osady. Nasi ojcowie i nasze matki, dziadowie nasi i nasze babki są naszymi postaćami, tak jak oni stali swoich przodków na długo przed nami. Udają się w tamten świat, aby wyprosić nam dobrobyt i jakem żyw, dokąd sięga moja pamięć, a i pamięć samych postaćców, wiecie, że ten uświęcony rytuał, ta radosna wielka chwila, ta noc, przynosi nam wszystkim korzyść, pozwalając przetrwać całej osadzie. Postaćcy zapewniają nam dobrobyt w tych trudnych chwilach, gdy przed ustąpieniem śniegów kończą się nasze zbiory. Jesteśmy i powinniśmy być im wdzięczni, a oni z radością pełnią swoją rolę. - Tutaj

Wojciech zrobił krótką przerwę i poszukał wzrokiem sprawcy tego zamieszania. Gdy ujrzał Lecha z podbitym okiem, zawiesił na nim spojrzenie i podjął na nowo: - Jeśli ktoś utrudnia to postannictwo, zagrożona jest cała osada. Bez postaćców wszyscy pomrzemy głodem. Ktoś chciałby być temu winien?

Pytanie, które zawisło w mroźnym powietrzu, nie otrzymało odpowiedzi, zresztą dla wszystkich była ona jasna. Gdy Wojciech uznał niebezpieczeństwo za zażegnane, ruszył w kierunku wielkiego głązu, a reszta zaczęła wracać do swoich sań. Zrobił jednak zaledwie kilka kroków, a dobiegł do niego Lech ze łzami w oczach, skamląc: - Ona szczać jeno chciała. Dlatego tylko... Ja nigdy bym... Przysięgam na życie... - Wojciech już nie słuchał go więcej, tylko zerknął przelotnie na plamę na śniegu i ruszył przed siebie.

Gdy dotarł do wielkiego głązu, to, co zobaczył, wprawiło go w przerażenie. Sanie były puste. Jego postaniec zniknął. Jeśliby jakimś cudem wrócił do osady, jego rodzinie groziło niebezpieczeństwo. Nie przeżyją bez postaćca na tych lichych garściach ziarna, które im pozostało z letnich zbiorów. Postaniec musiał trafić do dębowego gaju. Wojciech rozejrzał się wokół i zobaczył w końcu wyraźne ślady na śniegu. Jak gdyby coś czołgało się w głąb lasu. Poszedł za śladem. Nie trwało to długo, zanim znalazł starca leżącego w leśnej jamie, przykrytego liśćmi i mchem. Prychnął na samego siebie, ganiąc się za pomysł, że niedołęzny starzec mógłby sam wrócić do osady. Gdyby mu się udało, to jaki z niego postaniec?

- Ojciec! - krzyknął do niego i zaczął ściągać z niego ziemię i zarośla, którymi starzec widocznie próbował się okryć przed mrozem. - Po co się ojciec tu przyczołgał? - zapytał z troską, ogrzewając mu dłonie swoim ciepłym powietrzem.

- Ja... Ja myślał, że to już. Sam zostałem, tyś poszedł.

- Przecie mówiłem ojcu, że zostawiam go na chwilę tylko. - Wojciech przerwał i spojrzał uważnie na ojca. W jego przeobrażone oczy. A może to nie było przeobrażenie, kto to wie, co się dzieje w głowach postaćców? - Ojciec wie, że już pora na jego postannictwo? Tylko tak dziatki przed głodem uratować możesz.

Starzec patrzył na Wojciecha szeroko otwartymi oczami, jak gdyby coś sobie przypominał. Jego oczy zaszyły mgłą i stało się jasne, że teraz go tutaj nie ma. Cofnął się w czasie o wiele takich nocy, przypominając sobie tę jedną, wielką noc, w której to on ciągnął na saniach swojego ojca. I zastanawiał się, co takiego dzieje się w głowach postaćców. Teraz już to wiedział, a zanim skończy się noc, dowie się dużo więcej. Dowie się, dokąd udają się postaćcy, by wypraszać u bogów łaski dla swoich krewnych, którzy pozostali w osadzie. Od niego teraz zależy ich pomysłność, ich życie jest w jego rękach i nie pozwoli sobie na strach. Jest ich postaćcem. Jego wzrok odzyskał ostrość i gdy Wojciech upewnił się, że starzec wrócił do niego, wziął go na plecy jak dziecko i zaniósł z powrotem na sanie, delikatnie okrywając skórą. Dalszą drogę ojciec przespał kołysany rytmicznymi krokami syna ciągnącego sanie.

W dębowym gaju, na szczycie wzgórza, gdzie najbliżej do nieba i najłatwiej ludziom spotkać się z bogami, inni, którzy dotarli tu wcześniej, wysadzali swoich krewnych z sań i pomagali im usadowić się pod drzewami. Wokół panowała podniosła cisza. Rozmowy toczyły się szepcąc. Wojciech również pomógł swojemu ojcu podnieść się z sań i zaczął prowadzić go w kierunku najbliższego dębu.

- Nie tutaj! - powiedział ojciec, już wyraźnie tracąc siły. - Położ mnie pod tamtym drzewem - rzucił, wskazując głową drzewo nieróżniące się niczym od pozostałych.

- Drzewo jak drzewo - powiedział Wojciech.

- Nie, jestem pewien, że je poznaję - odpowiedział ojciec i jego życzeniu stało się zadość.

Gdy usiadł pod drzewem, Wojciech trzymał go nadal za dłonie, jak gdyby przedłużając tę chwilę. Nie wiedział, co mógłby powiedzieć. W jego własnych oczach ojciec stawał się już kimś więcej niż człowiekiem. Mógłby przysiąc, że jego skóra prześwituje, a ojciec zdaje się nikać w oczach. A może to tylko światło księżycza padające na bladą skórę starca?

- Zadbam tam o was - powiedział starzec i zamknął oczy. Był już zmęczony. Wojciech wstał, wziął sanie i odwrócił się na pięcie, uważając, by nie nadepnąć na leżące wokół kości. By nie obudzić ojca.

W drodze powrotnej Wojciech zjadł chleb przyprawiony przez Wiesię i myślał o słowach ojca. *Jestem pewien, że poznaję to drzewo* - dźwięczało mu w głowie. Zastanawiał się, czy on byłby w stanie rozpoznać to drzewo. To sprawiło, że wrócił myślami do swojego maleńkiego syna. Do tego, co kilkulatek powiedział mu, gdy Wojciech sadzał swojego ojca na saniach, by zabrać go do lasu.

Tato nie zapomni przyciągnąć sań z powrotem, mnie też się przydadzą.

Zatrzymał się i spojrzał jeszcze raz za siebie na zimny i ciemny las, choć starsi ostrzegali, by tego nie robić. Sypiący lekko śnieg przykrył już ślady płóz prowadzące do wioski, aby żaden postaniec, który byłby do tego zdolny, nie mógł wrócić. To się zresztą nigdy nie zdarzyło za życia Wojciecha, w ich osadzie na siedmiu wzgórzach, nad jedną rzeką i jednym wartkim strumykiem. Raz wprowadzie gruchnęła wieść o rodzinie, która miałaby ukrywać w sianie swojego postaćca, który jakimś cudem wrócił z gaju. Cała wioska zebrała się, by spalić stóg, ale okazało się, że ci szaleńcy nikogo nie ukrywali, tylko

stworzyli kukłę z siana na wzór człowieka. Chcieli postać ją zamiast kogoś z rodziny. Wpatrując się w świetlistą lunę nad gajem, Wojciech zastanawiał się, czy byłby w stanie odnaleźć to drzewo.

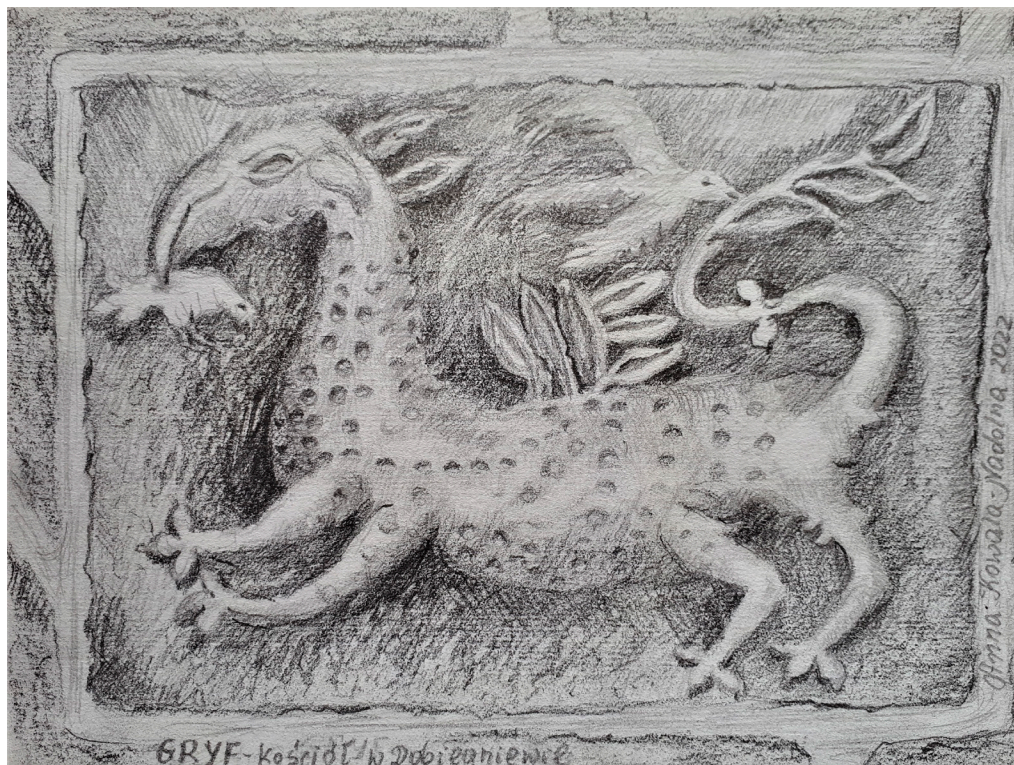
„Jako składnik struktury społecznej „wysadzenie” starców, znane także z obyczaju innych ludów indoeuropejskich, należało u Słowian do bardzo odległej przeszłości. Jego zapisy średniowieczne i ślady folklorystyczne są nikłe i fragmentaryczne, występując w postaciach przekształconych i zdegradowanych. Istota obrzędów nie tylko pogrzebowych sensu stricto, ale i innych wyrażających tę samą koncepcję zasadniczą, polegałaby na wysyłaniu w określonym rytmie czasu postaciów w ów inny świat dla podtrzymania prawidłowego biegu rzeczy na ziemi. W cyklu kalendarzowym świąt podstawowych upatruje się ślady ofiar

ludzkich zastąpionych przez ich symboliczne znaki, jak kukły topione w wodzie lub palone w ogniu. Palenie kukły, gałęzi, słomy, zdobionych w wieńce kwiatne, girlandy, kwiaty i wstążki oznaczałoby zastąpienie nimi owych postaciów w inny świat. Wydają się one szczątkami dawnego, okrutnego rytuału, który wcześniej zanikł. Te obrzędy obejmują różne sposoby witania wiosny, topienie Marzanny przede wszystkim. Różne próby analizy pokazały całe skomplikowane znaczenie tych obrzędów, gdzie mogą nawet pobrzmiewać jeszcze i echa bardzo pierwotnych obyczajów usuwania zbędnych postarów”

A. Gieysztor, „Mitologia Słowian”, wyd. III zm.,
Warszawa 2006

Mariusz Sobkowiak

Redaktor naczelny magazynu
„LandsbergON”



Autor grafiki: **Anna Kowala-Nadolna**

„Jesteśmy Słowianami”

Wywiad z Przemysławem Prawuckim z drużyny odtwórców historycznych Valknut Hird

Kamil Kwiatkowski: Jak to się wszystko zaczęło? Kiedy i w jakich okolicznościach powstała Wasza grupa? Ilu Was było na początku?

Przemysław Prawucki: Zaczęło się niewinnie. Grupka pasjonatów historii postanowiła założyć drużynę, w której tematem przewodnim było wczesne średniowiecze. Przygodę rozpoczęliśmy w 2007 roku. Od tej pory mieliśmy burzliwą historię, kilka zmian nazewnictwa drużyny, pożegnanie kilku wspaniałych osobowości, aż do roku 2014. Od tej pory niezmiennie drużyna w Gorzowie nosi nazwę Valknut Hird. Liczba członków przez te lata była różna. Zaczynaliśmy od

8-osobowej drużyny, obecnie liczymy 20 czynnie działających drużynników.

K.K.: Czym się zajmujecie i jak do Was dołączyć?

P.P.: Zajmujemy się rekonstrukcją epoki Słowian i Wikingów. Staramy się odwzorować życie codzienne z tamtych lat poprzez rzemiosło, muzykę, wierzenia i walkę. Aby do nas dołączyć, wystarczy mieć ukończone 16 lat i przyjść na trening, który organizujemy w niedzielne popołudnia w parku Słowiańskim, lub skontaktować się przez Facebooka, tam wszystko wytłumaczymy i nakierujemy.

www.facebook.com/valknuthird



K.K.: Czy istotny jest dla Was element mitologii, wiary słowiańskiej? Czy jest to obecne na Waszych spotkaniach?

P.P.: Wierzenie w prastarych bogów jest dość mocno ukorzenione w naszym życiu drużynowym, jak i poza nim. W czasie przesileni i równonocy spotykamy się i odprawiamy obrzędy jak nasi przodkowie, nosimy wisiory i inną biżuterię z symbolami danego bóstwa. Niektórzy członkowie należą do zgrupowań słowiańskiej wiary, gdzie pełnią funkcje kapłanów.

K.K.: Co myślicie o obecności mitologii słowiańskiej w przestrzeni publicznej? Życzylibyście sobie, by było jej więcej? Żeby była nauczana w szkołach, jak od dekad omawiana jest grecka i rzymska?

P.P.: Czy powinno być więcej mitologii słowiańskiej w naszym życiu? Myślę że tak. Każdy ma wybór, w co tak naprawdę wierzy i nie powinno to być dla kogokolwiek problemem. Każda wiara wniosła coś do historii świata, a my – jako potomkowie naszych przadków – powinniśmy

wiedzieć, co działo się na naszym podwórku, bo tak naprawdę niewiele się o tym mówi, a młodzi ludzie nie są o tym uczeni. Pogłębiając wiedzę na temat mitologii, dostrzeżemy inny świat, który nas otacza. Jesteśmy Słowianami, więc nie powinniśmy zapominać o naszych korzeniach i wierze. Tak dużo mówi się o mitologii odległej Grecji i Rzymu, podczas gdy rzeczy, które nas otaczają, są równie majestatyczne. Mamy złych i dobrych bogów i to wiara w nich wykreowała nasz pogląd na otaczający nas świat; każde bóstwo jest odpowiedzialne za inne aspekty życiowe. Więc tak, życzylibyśmy sobie, aby mitologia słowiańska otaczała nas w szerszym zakresie, niż ma to miejsce obecnie.

Wywiad przeprowadził **Kamil Kwiatkowski**

Opowiadanie Kamila Kwiatkowskiego o słowiańskich legendach, pt. „Potudnica” dostępne jest online pod adresem landsbergon.pl/poludnica/





Autor grafik: **Anna Kowalczewska**

Jest malarką i pisarką, a przede wszystkim wielką pasjonatką fantastyki i magii. Gorzów jest jej domem. Bardzo sobie ceni obecność licznych parków i pobliskich lasów, gdzie może puścić wodze fantazji i po prostu odpocząć.

Podobna do hieny ujada to autor-skie fantastyczne stworzenie z książki Anny Kowalczewskiej „Księgi Wybranych: Tchnienie”.

Smok został zainspirowany ptakiem – kardynałem szkarłatnym. Ptaki miały szczególne znaczenie w mitologii słowiańskiej, a grafika w cudowny sposób nawiązuje również do ich pochodzenia od dinozaurów.

Spotkanie pod Drzewem Kosmicznym

Klara wysiadła z zapchanego autobusu, który od zbyt wielu lat zastępował nieobecny tramwaj. Choć „wysiadła” to za dużo powiedziane. Została wypchnięta przez wylewający się tłum młodzieży wgapionej w ekrany telefonów, wyświetlających najnowsze TikToki, oraz zawzięte starsze panie ciągnące siedmiokilowe wózki, które samym swoim istnieniem irytowały wszystkich żyjących, włącznie z ich właścicielami.

Po wylaniu się razem z tłumem na Rondzie Kosynierów Gdyńskich przepchnęła się przez ludzi tłoczących się na przystanku oraz przez maruderów, którzy usiłowali dostać się do autobusu jeżdżącego na trasie linii T2, oraz tego trzymającego się trasy linii 124, z czego oba właśnie zamykały drzwi i szykowały się do odjazdu. Mężczyzna w średnim wieku, ubrany w dres zdobiony w charakterystyczne trzy paski, odepchnął Klarę na bok, nie zważając, że prawie ją przy tym przewrócił. Zaklął siarczyście, gdy zastępczy pseudotramwaj odjechał, ale do kierowcy nie doleciały obelgi wyzywające jego i jego matkę.

Gdy udało jej się w końcu złapać równowagę, po spotkaniu trzeciego stopnia z dressem, Klara poprawiła ciężącą jej na ramieniu torbę wypełnioną kserówkami oraz sprawdzonymi kartkówkami z budowy komórki oraz cykli rozwojowych grzybów i ruszyła w kierunku Ronda – liceum, które znane było w zasadzie głównie pod tą nazwą.

Niemal godzinę później, zaopatrzona w kubek letniej kawy oraz zapas ploteczek z pokoju nauczycielskiego, zmierzała do swojego gabinetu biologicznego o dumnym numerze 204, gubiąc się po drodze prawie trzy razy, a właściwie to dwa i pół raza, bo to „pół” to tylko dlatego, że pomyliło jej się lewo z prawym

i poszła w złą stronę. Jednak kiedy doszła do celu, spóźniona tylko o lekkie osiem minut i klnąca pod nosem, że przecież pracuje w tej szkole już drugi rok, a wciąż się w niej gubi, z zaskoczeniem odkryła, że klasa 3D wcale nie czekała w korytarzu.

Klara weszła do pustej sali, rzucając ciężką torbę na blat ławki, gdzie normalnie siedziały dwie najzdolniejsze uczennice ze zdecydowanie zbyt wysokimi ambicjami. Jednym haustem wypita niemal cały kubek swojej kawy, odkładając go w sąsiedztwie torby. Opadła bezwładnie na fotel na kółkach przy biurku nauczyciela, który zaskrzyphiał głośno, ale nikt oprócz Klary tego nie usłyszał. Podskoczyła dwa razy na siedzeniu, próbując się wygodniej umościć, jak to miała w zwyczaju, wywołując chichoty wśród uczniów. Teraz tych chichotów jej zabrakło.

Westchnęła ciężko, opierając łokcie o blat i chowając twarz w dłoniach. Przez chwilę zastanawiała się, z jakiego powodu ot tak wywiało całą klasę, ale jedno spojrzenie na kartkę kalendarza stojącego obok starego komputera rozwiało wszystkie jej wątpliwości. Był 21 marca – Dzień Wagarowicza, a na zewnątrz panowała prześliczna pogoda, tylko wyjść i grzać się na słończku. To byłby cud, gdyby ktokolwiek pojawił się na zajęciach. Nie miała więc nic innego do roboty, jak tylko siedzieć i czekać, aż jakaś zagubiona duszyczka zajrzy przez drzwi, które zostawiła uchylone przez zwykłe gapiostwo. Ani się obejrzała, a jej głowa opadła z hukiem na biurko. Klara zapadła w głęboki sen.

Wiatr zaszeleścił liśćmi, poruszając delikatnie rosnącymi w skomplikowanym układzie gałęziami starego i lekko spróchniałego drzewa. Z gęstej korony zerwało się stado ptaków, przecinając szare niebo, na którym nie było ani jednej chmurki. Słońce też gdzieś zniknęło. Światło

pochodziło z niemożliwego do identyfikacji punktu, który raczej nie był punktem, bo wydawało się, że pochodziło zewsząd. Gałęzie drzewa znów się poruszyły, choć tym razem nie miał z tym nic wspólnego wiatr. Między połamany i ledwo ulistnionymi konarami leniwie przemieszczało się ciemne ptactwo, kracząc na siebie nawzajem.

- Och, zamknijcie się, do Peruna! - wściekły głos przeszył okolicę, wzbijając w powietrze kolejną grupę przerażonych ptaszysk, która zaskrzeczała w próbie zagłuszenia mężczyzny. - Tak, do was mówię, wy przebrzydłe Nawie! Dajcie wy mi wszyscy spokój.

Potężny kształt, będący zarazem źródłem głosu, wytoczył się z ledwo widocznego siedziska wyrzytego u podnóża pnia. Beknął głośno, łapiąc się za rozdęty brzuch, który wystawał spod porwanej tuniki, poplamionej winem i obsypanej okruszkami, które jak jeden mąż spadły na zachwaszczoną ziemię, ginąc w mieszaninie kurzu i pyłu. Mężczyzna uniósł nagle głowę i spojrzał przed siebie ledwo przytomnym wzrokiem. Jego oczy momentalnie powiększyły się do rozmiaru pięcioczołówek.

- To dzisiaj? WIOSNA?! - Głos nagle stał się piskliwy, towarzysząc niezwykle komicznemu wyrazowi twarzy jego właściciela. Ten podrapał się po brzuchu, próbując trochę się uspokoić. - Już rok minął? Ale... kiedy? Nawet swojego pierniczka grudniowego nie zjadłem. A może zjadłem?

Naprostował lekko tkaninę tuniki, która zdecydowanie widziała już lepsze dni, szukając resztek po pierniczkach czy lukrze. Klara przypatrywała się temu obrazowi dawnej uczt i rozpaczy, nie rozumiejąc niczego, co się działo. Nagłe pojawienie się na oświetlonej łące z ogromnym, mistycznie wyglądającym drzewem na samym środku z reguły nie należało do części dnia licealnej nauczycielki biologii

w niczym szczególnym niewyróżniający się poniedziałek. Otyły mężczyzna zamarł, zaprzestając poszukiwania resztek pierniczków, i odwzajemnił spojrzenie coraz to bardziej skonfundowanej kobiety. Przez chwilę stał nieruchomo, aż nagle jego palec powędrował w górę, wskazując najpierw na własne brzuszysko, a potem na stojącą dziesięć metrów od niego Klarę.

Już miał coś powiedzieć, najpewniej nawet wykrzyknąć, ale nagłe pojawienie się płonącego ptaka z zakrzywionym dziobem skutecznie mu w tym przeszkodziło. Ptak zakręcił się wokół korony drzewa i wylądował z głośnym skrzekiem na wystarczająco wytrzymałej gałęzi. Ta wygięła się lekko, a ognisty ptak załopotał potężnymi skrzydłami, próbując zachować równowagę. Płomień ogarniający jego pióra zamigotał, wyrzucając w powietrze żarzące się drobinki. Zdawać się mogło, że całe przesuszone drzewo momentalnie zajmie się ogniem, ale nic takiego się nie wydarzyło. Ptak, wyglądający na ognistego sokoła, spojrzał z gniewem w oczach na opastego mężczyznę.

- Czego? - warknął ten w odpowiedzi, unosząc pięść, jakby chciał ptakowi pogrozić, ale się rozmyślił. - Ja cię tu nie chciałem. Nie moja wina, że twój pan Swaróg to leniwy wieprz i nie pojawił się tu dla Mokosz, Rarogu.

Ptak skrzeknął i pochylił łeb, zrzucając na ziemię kilka iskiei. Wyciągnął skrzydła i zawinał szyję tak, by skryć głowę pod żarzącymi się piórami. Momentalnie zasnął i tylko bijący od niego delikatny gorący świadczył o jego obecności.

Klara wpatrywała się w ptaka przez dłuższą chwilę, próbując pozbierać fakty w jakąś wspólną całość. Była pewna, że śniła albo doświadczała pewnej pokręconej halucynacji. Może przez tę kawę. Nie smakowała zbyt dobrze... Ale dotarło do niej, że Swaróg i Mokosz to były postacie ze słowiańskiego panteonu. Nawie były duszami zmarłych. A to znaczyło, że

ogromny mężczyzna, który wrócił do szukania resztek po pierniczkach w fałdach własnej szaty, był Welesem. I stali tuż obok Drzewa Kosmicznego.

– Ja... umarłam? – wyjąkała, obejmując się obronnie ramionami. Weles oderwał się do samoiskania i spojrzął na biolożkę. Nawie zakrakały wściekle.

– Och, już, już. Przestańcie z tą zazdrością – zgańił je, bezwładnie opadając na siedzisko w Drzewie Kosmicznym. – A co do ciebie... Tak. My wszyscy nie żyjemy. Tak już...

– Tso się dzieje? – przerwał mu bełkotliwy głos. Raróg skrzeknął przez swoje pióra, gniewnie protestując przeciwko nagłej pobudce. Na skraju polany pojawił się wysoki, chuderlawy kształt, który zbliżał się zygżakiem, ale w godnym pozazdroszczenia tempie. Właściciel głosu zataczał się, co chwila unosząc w połowie pustą butelkę do ust znajdujących się po lewej stronie głowy. – Mokosz...osz? Pora na Mokoszosz?

Zataczający się kształt podszedł wystarczająco, by można było rozpoznać w nim mężczyznę o czterech twarzach. Spojrzął najpierw na Welesa, a potem na Klarę. Twarz z tyłu beknęła głośno. W odpowiedzi Raróg skrzeknął, wyrwijając wściekłym ruchem łeb spod skrzydeł.

– Tak, Świętowicie. Pora na Mokosz – westchnął ciężko Weles, zasłaniając głowę przed deszczem iskier, które spadały na niego z piekłącego się ognistego ptaka. – Wytrzeźwiałybyś, ty stary pijaczyno.

Świętowit spojrzął na niego dwoma parami oczu i ostentacyjnie przechylił butelkę, ale nic z niej nie wyleciało. Burknął pod nosem ledwo zrozumiałe przekleństwo i zerknął jednym okiem do środka, przymykając pozostałe siedem. Zupełnie zignorował przy tym skrzeczącego i sypiącego na prawo i lewo iskrami Raroga, który burzył się nad głową Welesa starającego się ochronić przez zagrożeniem podpalenia.

– Idźta se – burknął patykowaty pijak o czterech twarzach, odrzucając pustą butelkę na bok. Szkło roztrzaskało się i rozprysnęło na tysiąc kawałków. Zachwiał się na nogach, zrobił gwałtowny krok do tyłu i spojrzął prosto na Klarę. – Mokoszosz. Wróćta. Ta?

Klara zamrugwała, zupełnie nie rozumiejąc już, o co w tym wszystkim chodzi. To była jakaś naprawdę szemrana halucynacja, zupełnie jakby ktoś dosypał jej do kawy cukru o podejrzanym pochodzeniu. Spojrzała najpierw na Welesa, a potem na Świętowita. Ten pierwszy nie wiadomo skąd wytrzasnął paczkę precelków, które z radością pochrupywał, a ten drugi wyciągnął spod tuniki metalową piersiówkę i pociągnął z niej olbrzymiego tyka.

Raróg skrzeknął wściekle, zdeglustowany zachowaniem dwóch bogów. Zerwał się ze swojego wygodnego miejsca na konarze, machnął kilka razy skrzydłami i nagle znalazł się nad kobietą. W jego szponach skłębził się ogień, rozbłyskując ciepłym, pomarańczowym światłem. Po chwili płomień zniknął, a w jego miejscu pojawił się kłębek szarej wełny. Ptak wypuścił go prosto na Klarę, która odruchowo wyciągnęła ręce i chwyciła go niemalże w locie. Gdy tylko jej palce dotknęły splątanej wełny, w jej kręgosłupie głośno trzasnęło i zgięta się właściwie w pół. Spinka utrzymująca jej brązowe, nijakie włosy puściła, a nagle posiwiałe, splątane pukle opadły na pomarszczoną twarz i wychudzone ramiona.

– Dobsze cie mieć z powrotem, Mokoszosz – wyszczerzył się Świętowit, unosząc piersiówkę w niemym toaście. Natychmiast pociągnął kolejnego głębokiego tyka. Raróg skrzeknął, wzbił się wyżej i zniknął na szarym niebie. Klara, a raczej Mokosz, odprowadziła go zmęczonym wzrokiem, ledwo będąc w stanie unieść głowę.

– Twoje czterdzieści lat błogiego życia się skończyło – mruknął Weles, chrupiąc

z zapamiętanej precelki. Oblizwał palce z okruszków i soli. – Ludzie, ci idioci, trochę zepsuli. Ziemia się sypie. Szybciej niż kiedy odeszłaś na urlop. Jeszcze kilka lat, a nie miałabyś do czego wracać.

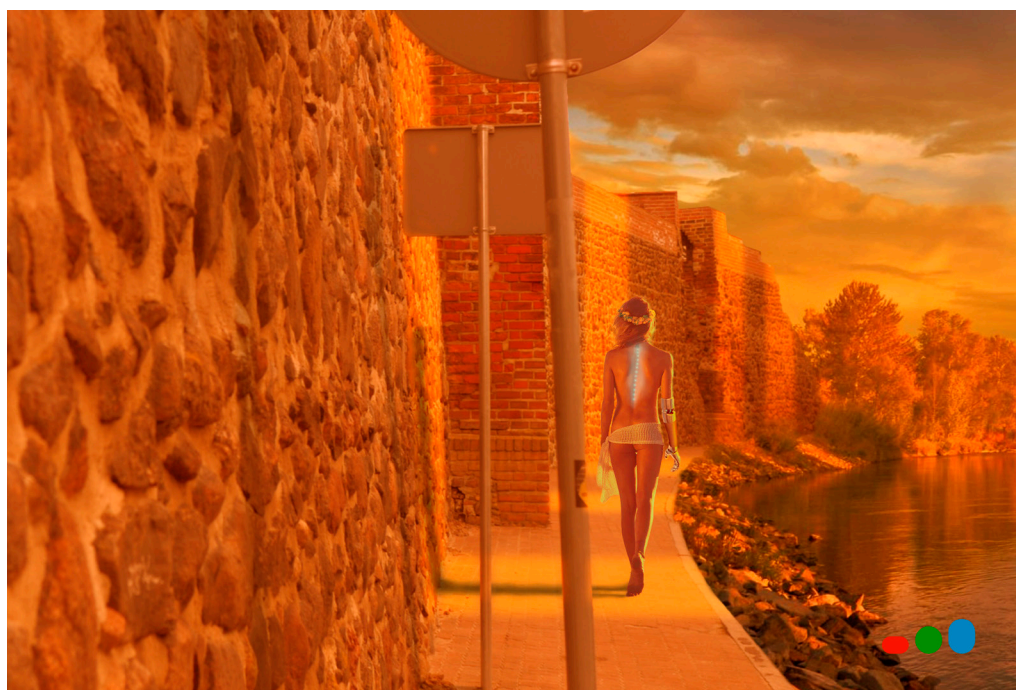
Mokosz westchnęła ciężko, patrząc na obu bogów. Zarówno Weles, jak i Światowit odczuwali dokładnie to samo, co ona – brak sił. Oni próbowali innych metod, by te siły odzyskać, ale ani obżarstwo, ani pijaństwo nie pomagało. Urlop najwyraźniej także nie.

– Byłoby łatwiej, gdyby znowu zaczęli w nas wierzyć – wymamrotała do

siebie pod nosem, odwróciła się na pięcie i odeszła, oddalając się od Kosmicznego Drzewa, by sprawdzić, co się zmieniło z jej dzieckiem Ziemią przez ostatnie czterdzieści lat.

Katarzyna Wieczorek

Rocznik 2000. Urodziła się w Gorzowie. Obecnie studiuje anglistykę na tutejszej uczelni. Zakochana w fantastyce i sci-fi, odkąd – gdy miała 8 lat – tata pokazał jej serial „Gwiazdne Wrota”, który ogląda z zafascynowaniem do dzisiaj. Pisze od szkoły podstawowej, mieszcząc się gdzieś pomiędzy fantastyką a sci-fi, gdzie czuje się najbardziej komfortowo.



Autor grafiki: Joachim Kudelski

Urodził się w Gorzowie Wielkopolskim, gdzie mieszka do dziś. Zawodowo zajmuje się filmem i grafiką użytkową. Hobbistycznie oddaje się fotomanipulacjom. Wizje przyszłości przedstawiane w grafikach zawierają elementy symbolizmu, metafor. Inspiracje pochodzą z dzieł autorów, takich jak wyprzedzający swoje czasy Hieronim Bosch czy surrealiści, jak Salvador Dalí. Swoje prace prezentuje na prowadzonej stronie www.sztuka-koloru.pl

„Gorzowska Cyber Nimfa” – Nimfy były różnie przedstawiane w literaturze i malarstwie. W Polsce najbardziej znana jest Świtezianka ze zbioru „Ballady i romanse” Adama Mickiewicza. Gorzów Wielkopolski przyszłości też ma swoją nimfę – Warciawiankę. Nie podążaj za nimfą, bo spotka cię to, co każdego z bohaterów dawno opisanych tragedii.

Mur obronny Gorzowa Wielkopolskiego po zmianach biegu rzek, daleka przyszłość.

Wanda, część IV

W poprzednich częściach Wandy (znajdziecie je w numerach 2/2018, 2(4)/2019 i 2(6)/2020 pod tytułem „Opowieść o gorzowskiej Wandzie”):

W gorzowskich podziemiach zaszyła się Wanda – mityczna księżniczka, która nie chciała Niemca i z żądzy zemsty zabija ludzi mających niemieckie lub niemiecko brzmiące nazwisko. Olgierd Plaski i Igor Schmidt, dwóch detektywów amatorów i poszukiwaczy przygód, stara się ją powstrzymać. W akcji pomagają im żołnierze z jednostki w Międzyrzeczu z majorem Robertem Steckim na czele. Grupa jest przed zejściem na poziom trzeci. Padła decyzja, by przy wejściu do kolejnej komnaty rozmieścić ładunki wybuchowe...

Czterech wyznaczonych przez Steckiego żołnierzy posuwało się powoli w głąb ciemnego korytarza. Wyposażeni jedynie w krótką broń i termowizory poruszali się bezszelestnie jak koty. Idący na czele żołnierz zatrzymał się nagle i przywarł do ściany. Pozostali zrobili to samo. Pierwszy żołnierz pokazał pozostałym na migi, że w odległości dziesięciu metrów przed nimi znajduje się liczna grupa przeciwników. Na dany znak żołnierze ustawili się w linii i każdy z nich przygotował otrzymaną od Steckiego flarę sygnalizacyjną.

– Teraz! – krzyknął żołnierz i wszyscy jednocześnie odpalili flary. Wnętrze tunelu najpierw wypełnił syk odpalanych flar, a następnie czerwony błysk i gryzący dym.

– Tutaj, pokraki! – krzyknął żołnierz w stronę przemienionych. – Chodźcie szybko, bo wam śniadanko ucieknie!

Około czterdziestu przemienionych ruszyło w stronę żołnierzy. Z każdym pokonanym metrem nabierali prędkości.

Żołnierze rzucili się biegiem w kierunku, z którego przyszli. Biegli ile tylko mieli sił w nogach. Narastający za ich plecami ryk dodatkowo motywował ich do szybszego przebiegania kończynami. Teraz już nie biegli, a pędzili jak wiatr, zdając sobie sprawę, że od tego zależy ich życie. Jeden z żołnierzy odwrócił się i opróżnił magazynek pistoletu, strzelając na oślep w stronę goniącej ich hordy. Kilku przemienionych padło martwych, jednak spora ich część nadal gnała i z każdym metrem zbliżała się do uciekających.

– Już! – usłyszeli niespodziewanie donośny głos kapitana Steckiego. Tak jak było to ustalone, rzucili trzymane w rękach flary przed siebie, a sami skryli się w załomach tunelu. Mocno przywarli do ścian, zasłaniając uszy. Goniąca ich wściekła horda przebiegła jeszcze kilka metrów i zatrzymała się nad dogasającymi flarami. Największy z przemienionych pochylił się nad jedną z flar, następnie wyprostował, odwrócił i zawył w głąb tunelu. Stecki, trzymając w dłoni detonator, drugą ręką zaciśniętą w pięść uderzył w przycisk inicjujący.

– Żryj gruz – powiedział, a ułamek sekundy później eksplodowały rozmieszczone przez saperów ładunki wybuchowe. Materiały burzące zawałyły wejście do tunelu.

Gdy opadł pył, ukryci w załomach tunelu żołnierze zaczęli podchodzić do gruzowiska. Wciąż niepewnie, trzymając gotową do strzału broń, dokładnie oglądali zawalisko.

– Na amen – skwitował jeden z żołnierzy. – Gruz pod wpływem temperatury scalił się w jedną bryłę. Nie ma szans, żeby ktoś po tamtej stronie przeżył.

– Jest jedno „ale” – wtrącił Igor. – Teraz nie mamy żadnej opcji odwrotu.

- A kto mówił coś o odwrocie? - klepnął go w ramię Stecki. - Idziemy dalej. Zbierać graty. Jeszcze trochę drogi przed nami.

- Poczekaj - zatrzymał go Plaski. Coś nie dawało mu spokoju. Rozejrzał się po komnacie, w której stali. Latarką oświetlał po kolei każdą osobę. Brakowało Święckiego i dwóch sokistów. Gdzie oni są?

- Robert - zwrócił się do Steckiego. - Gdzie jest prezydent i ci dwaj sokiści?

- Byli tutaj, zanim się to wszystko zaczęło. - Stecki pobladł. - Cholera jasna! Zostali po drugiej stronie. Już po nich. Dobrze wiedzieli, jakie jest ryzyko. Podjęli je i jedyne, co nam teraz pozostaje, to zachować ich w pamięci. Ale my musimy iść dalej.

- Kapitanie! - zawołał z przodu jeden z żołnierzy. - Zwiad jest przy zejściu na poziom trzeci. Zgłaszają, że jest czysto. Nie zanotowali żadnej aktywności przeciwnika. Czekają na rozkazy.

Stecki poprawił mundur, sprawdził swoją broń i wydając w marszu rozkaz do „ruszenia dupy”, skierował się do zejścia na trzeci poziom kanałów. Pozostali żołnierze, Olgierd oraz Igor ruszyli za nim. Po dojściu do grupy zwiadowczej Stecki przyjął krótki meldunek mówiący, że zejście do trzeciego poziomu kanałów wyposażone jest w metalową drabinkę, jednak jej stan uniemożliwia bezpieczne zejście. Wobec tego rozkazał przygotowanie lin zjazdowych i udzielił krótkiego instruktażu alpinistycznego Olgierdowi i Igorowi. Po niecałych pięciu minutach wszystko było gotowe i pierwsza grupa żołnierzy zjechała na linach na poziom trzeci.

- Osiem metrów stropu i dziesięć metrów wysokości tunelu. Razem osiemnaście metrów zjazdu. - Stecki wyszczerzył zęby. - Tylko uważajcie, żebyście nie trzymali za mocno liny, bo przepali wam dłonie.

- Czy jest coś jeszcze, co powinniśmy

wiedzieć? - zapytał sceptycznie Igor. - Jakież rewelacje?

- Skacząc z samolotu, człowiek spada z prędkością około 180 km/h. Jak nie będziesz się dobrze trzymał, to ziemi dotkniesz w jakieś 0,36 sekundy. Nie zdążysz nawet pomyśleć, co się stało, a zostanie z ciebie worek połamanych kości.

- Świetnie - odrzekł z kwaśną miną Igor.

- Pamiętaj tylko, żebyś nie spadł na tą swoją latarkę. Chciałbym ją mieć całą. - Stecki pokazał Igorowi cały rząd swoich zębów, gdy szelmowski uśmiech rozchylił mu wargi.

- Jak chcesz taką, to sobie kup - warknął Schmidt i zbliżył się do krawędzi otworu zejściowego na trzeci poziom. Przy pomocy żołnierza, który zabezpieczał zejście każdego z członków ekipy, jeszcze raz dokładnie sprawdził linę i pasy uprząży i mocno chwyciwszy hamulec zjazdowy, zsunął się w głąb szybu. Jazda nie trwała długo, jednak Igor zamyślił się przez chwilę i za późno aktywował hamulec, przez co grzmotnął w ziemię, boleśnie objając sobie siedzenie. Szybko jednak pozbierał się i udając, że nic się nie stało, dokuśtykał na bok. Za nim zjeżdżali kolejni żołnierze, po nich Olgierd i Stecki, a na końcu czterech „sprinterów”, którzy zdążyli się już uzbroić i w pełnym rynsztunku, jeden po drugim lądowali na dnie trzeciego poziomu kanałów.

- Którędy teraz? - zapytał Stecki Olgierda. - Tam czy tam? - wskazał po kolei oba kierunki tunelu.

- Musimy kierować się w stronę rzeki - odrzekł Olgierd. - Kiedy schodziliśmy z Igozem tunelem ewakuacyjnym, nie przeszliśmy więcej niż pięćset, sześćset metrów. Licząc na szybko, mamy do pokonania jakieś półtora kilometra. O ile oczywiście rozmieszczenie tuneli jest zgodne z tym, co widziałem na starych mapach.

- Może najpierw, nim ruszymy - wtrącił trzeźwo Igor, rozmasowując obolałe

pośladki – ustalimy plan działania. Przed nami jest Wanda i kilkudziesięciu strażników. Kapitan wspomniał, że mamy za mało amunicji, a spora część materiałów wybuchowych została zużyta na pozbycie się strażników wejścia.

– Słusznie – rzekł Stecki i zwrócił się do Plaskiego. – Masz jakiś plan działania?

– Wanda znajduje się w głównej komnacie. Ta poprzedzona jest mniejszymi, które otaczają ją, z tego co pamiętam, z ośmiu stron. Gdybyśmy rozdziłili strażników i zwabili ich do kilku komór, moglibyśmy odciąć ich od nas przy użyciu pozostałych materiałów wybuchowych. Resztę wystrzelamy.

– Zostaje jeszcze Wanda – Stecki poldrapał się po brodzie. – Co z tą cholera? Nie jest jakoś super odporna na kule?

– Nie wydaje mi się – odrzekł Olgierd. – To żywe stworzenie. Musi jeść, więc jej ciało podobne jest do naszego. Myślę, że kilkadziesiąt gramów ołowiu powinno załatwić sprawę. Tylko żeby nikt się nie dał zaczarować jej pieśniom. Pamiętajcie – zwrócił się do zgromadzonych blisko żołnierzy – że Wanda jest postacią na wpół magiczną. Potrafi śpiewem zaczarować słuchacza i to może okazać się zgubne dla nas wszystkich.

– Jak syrena u Odyseusza? – rzucił niepewne pytanie jeden z żołnierzy.

– Dokładnie tak! – Plaski spojrzął na żołnierza. – Jak się nazywasz, synu?

– Goldmann – krótko odpowiedział zapytany.

– Bez urazy, chłopcze, ale twoje nazwisko jest jak najmniej niemieckie. I podejrzewam, że co najmniej trzy pokolenia wstecz nie było w twojej rodzinie nikogo, kto pochodziłby od Niemców.

– Cała moja rodzina aż do szóstego pokolenia ma pochodzenie żydowskie – odrzekł żołnierz.

– No. To teraz możesz się z tego cieszyć – odparł cierpko Olgierd i zwrócił się do Steckiego:

– Po trzech ludzi do komnat. Niech zamontują materiały wybuchowe przy wejściu i wyjściu. Jak tylko przemienieni znajdą się w komnacie, detonować. Trzeba zablokować im możliwość wydostania się. Ja, ty i Igor ruszamy na Wandę.

– Tak jest! – Stecki strzelił obcasami, odwrócił się i zaczął dzielić ludzi na trzyosobowe grupy. Każdej grupie przydzielił materiały wybuchowe i udzielił instruktażu, co i jak powinni robić. Gdy wszyscy otrzymali zadania ruszyli w kierunku komnaty, w której znajdowała się Wanda.

Ciąg dalszy oraz finał historii

możecie przeczytać na stronie:

**ridero.eu/pl/books/wanda jako e-book
oraz w formie drukowanej.**

Major Stecki powróci w LandsbergOnie 2(10)/2022.

Jakub Łukasik

Gorzowianin, absolwent Wyższej Szkoły Bezpieczeństwa z siedzibą w Poznaniu, miłośnik historii, muzyki heavymetalowej i dobrej kuchni. W wolnych chwilach trenuje aikido i eksperymentuje kulinarnie.



GORZÓW WIELKOPOLSKI

Projekt jest dofinansowany przez miasto Gorzów Wlkp.

Wspierają nas:



GORZÓW

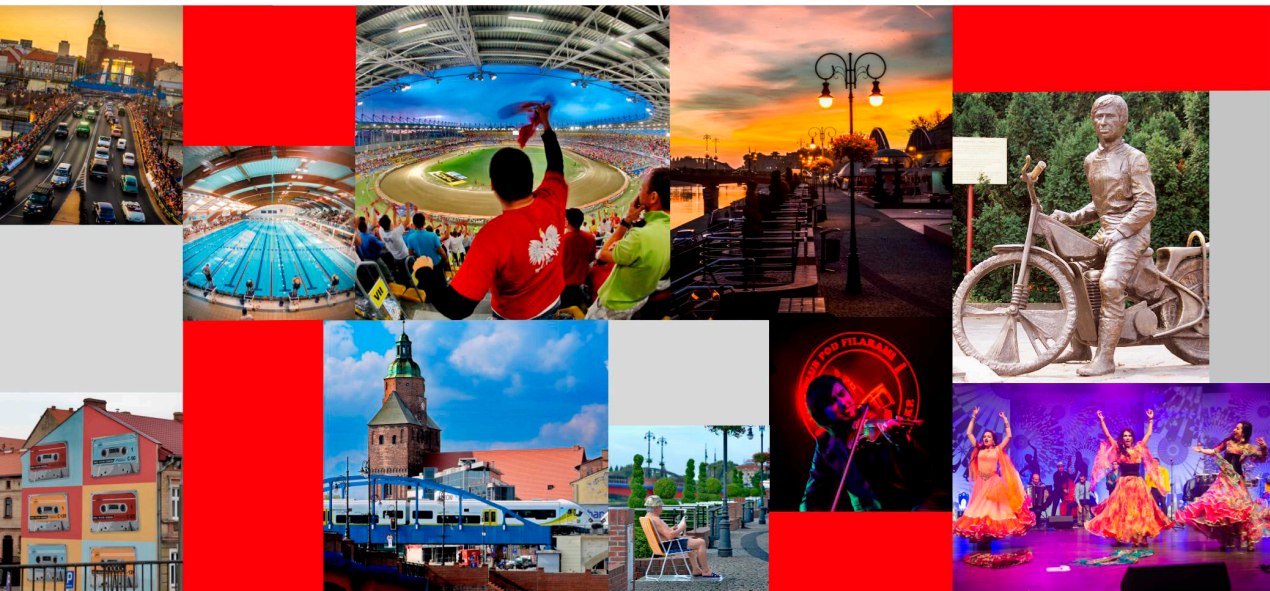
#StądJestem

przystan

www.gorzow.pl

[wwwGORZOW.pl](https://www.GORZOW.pl)

[gorzow_przystan](https://www.instagram.com/gorzow_przystan)



Redakcja i wydawca:

Stowarzyszenie na rzecz Innowacji Społecznych NOVUM

ul. Gwiazdzista 12/88 Gorzów Wlkp.

e-mail: landsbergon@gmail.com, Tel. 669-847-078

Red. naczelny: Mariusz Sobkowiak

Zastępca red. naczelnego: Kamil Kwiatkowski

Redaktorzy merytoryczni: Sebastian Górny, Piotr Jakubowski

Sekretarz redakcji: Aleksandra Sobkowiak (autorka logotypu)

Korekta: Karol Wojdyło

Grafika na okładce: Sebastian Górny

Skład: Hihi Kalisiak

Druk: drukarniaonline.pl Edward Świrkowicz

Wydanie: Gorzów Wlkp., 30.06.2022 r.

Numer ISSN 2657-5280, www.landsbergon.pl